

Styczeń 2012

"Podwoje wiary"

Zapewnie nieprzypadkowo ogłaszając swoje pierwsze encykliki Ojciec Święty Benedykt XVI odwrócić klasyczną katechizmową kolejność. Po pierwszej encyklice dotyczącej miłości (*Deus Caritas est*) ogłoszona została encyklika o chrześcijańskiej nadziei (*Spe salvi*). Zamykająca tę triadę encyklika dotycząca wiary będzie zapewne owocem *Roku Wiary*, który został przez papieża proklamowany specjalnym listem apostolskim, zatytułowanym *Porta fidei* (*Podwoje wiary*). Choć rozpocznie się on dopiero 11. października 2012 r., to jednak już teraz papież zaprasza do zintensyfikowania refleksji na temat wiary. Niemal trzydzieści lat po opublikowaniu "Raportu o stanie wiary", będącego wywiadem rzeką przeprowadzonym przez Vittorio Messoriego z ówczesnym kardynałem Josephem Ratzingerem, obecny papież publikuje dokument, będący czymś w rodzaju szkicu do nowego raportu dotyczącego wiary, pogłębionego o perspektywę powszechnego pasterzowania Kościołowi. Z właściwą sobie przenikliwością zarysowuje pierwsze kontury programu, odzwierciedlającego trudności, z jakimi współcześnie jest konfrontowany Kościół jako wspólnota wiary, ale też pojedynczy wierzący.

Tematyka wiary wpisuje się w nurt najistotniejszych dla papieża zagadnień, do których w swoim nauczaniu często nawiązuje. Dyskusja wokół relacji wiary i rozumu, dotykająca miejsca wiary i religii w laickich społeczeństwach, ale także dialogu Kościoła z inaczej wierzącymi oraz z coraz bardziej ofensywnym, a nierzadko wręcz agresywnym i wojującym ateizmem, będą niewątpliwie ważnymi tematami *Roku Wiary*. W swoim liście Benedykt XVI nie eksponuje jednak tego aspektu. Wskazuje natomiast na głęboki kryzys wiary, który dotyka samych chrześcijan. Chodzi nie tyle o relację Kościoła do

świata, ale o swoistą autorefleksję, o wskazanie na podstawowe i prawdziwe źródła, bez których wiara chrześcijan bardzo szybko rozplywa się w bliżej nieokreślonej religijnej emocjonalności lub też w zaangażowaniu społecznym, kulturowym i politycznym. Chociaż na początku wszystkie te formy aktywności chrześcijan zdawały się właśnie z wiary wypływać, bardzo szybko przekształcają się one w pusty aktywizm, okraszony jedynie tu i ówdzie religijnymi hasłami. Sól traci swój smak, a światło, które miało oświecać problemy ludzkości jest wstydliwie chowane pod kocem.

Dlatego celem *Roku Wiary* nie ma być wcale jakiś nowy aktywizm, nie będzie nim nawet jakieś pogłębione rozumienie prawd wiary (choć papież podkreśla konieczność odnowionego ich zgłębiania poprzez studium Katechizmu Kościoła Katolickiego). Jego celem ma być przede wszystkim naglące zaproszenie "do autentycznego i nowego nawrócenia do Pana, jedynego Zbawiciela świata" (nr 6). Zbyt często wiara chrześcijan jest zredukowana do zespołu teoretycznych prawd, które się zna, ale wobec których serce pozostaje nieporuszone. Zbyt wielu chrześcijan wierzy jedynie "głową", ale nie sercem. Nie zostają doprowadzeni do życiowej decyzji, do "aktu, którym zdecydujemy się na całkowite powierzenie się Bogu w pełnej wolności" (nr 10). Jak się wydaje to właśnie brak takiego głębokiego przeżycia osobistej relacji z Chrystusem, a nie niedostateczna ilość medialnie skutecznych inicjatyw i akcji promocyjnych stanowi zdaniem papieża najgłębszą przyczynę nieprzekonującego i bojaźliwego świadectwa chrześcijan w świecie. Chociaż wiara bez konkretnego działania, a więc bez uczynków miłosiernej miłości jest pusta, to jednak miłość stanowi przekonujące świadectwo dopiero wtedy, gdy wyrasta z głębokiego przywiązania do Chrystusa i ufności w Nim pokładanej: "Wiara bez miłości nie przynosi owocu, a miłość bez wiary byłaby uczuciem nieustannie na łasce i niełasce wątpliwości" (nr 14).

Ogłoszenia *Roku Wiary* to kolejna inicjatywa Benedykta XVI, zmierzająca do wewnętrznej przemiany Kościoła, do odnowienia - mówiąc językiem współczesnego - jego "jakości". I chociaż to pojęcie bywa dziś często nadużywane, to zasadnicza jego treść pozostaje w tym wypadku prawdziwa: chrześcijanie staną się interesującą alternatywą dla propozycji budowania świata bez Boga jedynie wtedy, gdy obok skutecznych i interesujących inicjatywami i akcji będzie można zobaczyć ludzi, dla których ich wiara jest źródłem pokoju i radości, skarbem i opoką nawet w porażkach i cierpieniu.

Luty 2012

Błogosławiona Hildegarda od Jezusa... politycznego

Kiedy w 1963 r., kierujący wtedy Archidiecezją Wiedeńską arcybiskup Franz König rozpoczynał proces beatyfikacyjny Hildegardy Burjan (1883-1933), nie przypuszczał zapewne, jak aktualna będzie postawa tej kobiety na początku drugiej dekady trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa. Jej beatyfikacja odbyła się w Wiedniu 29 stycznia 2012 r. Tym samym uwaga wierzących została skupiona na osobie, dla której zaangażowanie polityczne było istotnym elementem życia chrześcijańskiego, wręcz konieczną konsekwencją wiary w Chrystusa.

Nagłe i niespodziewane uzdrowienie z ciężkiej choroby ostatecznie przyczyniły się do konwersji pochodzącej z niepraktykującej rodziny żydowskiej Hildegardy na katolicyzm. Doktor filozofii, żona i matka, ale przede wszystkim aktywna działaczka ma rzecz ochrony i poprawy warunków pracy i życia ubogich kobiet, byłaby Hildegarda zapewne figurą galionową dla dzisiejszych austriackich ruchów feministycznych, gdyby nie jej zdecydowane katolickie przekonania i głęboka pobożność, z której czerpała siły i motywacje do swojego

zaangażowania społeczno-politycznego. Jako pierwsza kobieta z ramienia partii chrześcijańsko-demokratycznej weszła do austriackiego parlamentu (*Nationalrat*). Jej aktywność, oparta na współpracy ponad partyjnymi różnicami oraz jej zaangażowanie na rzecz potrzebujących sprawiły, że była określana jako "sumienie parlamentu". W roku 1919 założyła *Caritas Socialis* - wspólnotę zakonną zajmującą się opieką na ubogimi, szczególnie kobietami i dziećmi, która przyczyniła się do unowocześnienia struktur pomocy potrzebującym. Nie było to jednak jeszcze jedno zgromadzenie zakonne, ufundowane według dotychczasowych wzorców. *Chcemy czegoś nowego - nie tego, co już istnieje, lecz tego, co jest dostosowane do potrzeb czasu; nie chodzi o klauzurę, czy [...] inne formy życia klasztornego, lecz o to, by być czynną i zawsze gotową do pomocy wszędzie tam, gdzie pojawia się trudna sytuacja*. Chociaż Hildegarda zmarła w wieku niespełna 50 lat, jej osobowość została zapamiętana, szczególnie w kręgach chrześcijańskich.

Dziś już nie wystarczą tylko stowarzyszenia religijne [...]. Jeśli nie chcemy się tylko przyglądać, jak się ponad naszymi głowami rządzi i niszczy praktyczne chrześcijaństwo, musimy stanowić zwartą siłę [...]. Zainteresowanie polityką jest częścią przeżywanego w praktyce chrześcijaństwa. Te słowa Hildegardy Burjan nie tylko nie straciły nic ze swej aktualności, ale w kontekście obecnej sytuacji w Europie, a także w Polsce nabierają szczególnego znaczenia. Coraz bardziej widoczna ateizacja życia społecznego jest nie tylko efektem zmian społeczno-kulturowych we współczesnym świecie, ale przede wszystkim owocem intensywnej propagandy antychrześcijańskiej. Odbieranie chrześcijanom prawa głosu w kluczowych dla kształtu społeczeństw debatach pod pozorem ochrony neutralności państwa, będzie skuteczne jedynie wtedy, gdy wierzący będą zajmowali pasywną i rezygnacyjną postawę. Wycofanie się z życia politycznego, tak w Polsce, jak i na płaszczyźnie ogólnoeuropejskiej, w

odpowiedzi na lekceważenie bądź też otwartą wrogość byłoby historycznym grzechem współczesnych katolików.

Postawa błogosławionej Hildegardy stawia jednak także krytyczne pytania dotyczące jakości zaangażowania politycznego osób wierzących. Ta niezwykła kobieta, która w wielu kwestiach niewątpliwie wyprzedzała swoją epokę, pokazuje, że zdecydowanie i wierność wierze można i trzeba owocnie powiązać z kompetencją, wiedzą, kulturą polityczną i poszukiwaniem porozumienia.

Benedykt XVI od początku swojego pontyfikatu wielokrotnie apelował do katolików o zaangażowanie w życie społeczno-polityczne *w służbie wspólnego dobra, [...] aby nie szerzyły się ani nie umacniały ideologie, które mogą zaćmić lub wypaczyć sumienia i być nośnikami złudnej wizji prawdy i dobra* (z przemówienia do przedstawicieli Międzynarodówki Centrowych Demokratów - 21 września 2007). Dobrze wykształcone, kompetentne, ale jednocześnie cechujące się wysoką kulturą i etosem osoby wierzące i praktykujące w polityce na każdym szczeblu - to niewątpliwie jedno z najistotniejszych zadań wspólnot chrześcijańskich w dzisiejszym świecie.

Marzec 2012

"Troszczmy się nawzajem o siebie" (Hbr 10,24)

To wezwanie z listu do Hebrajczyków zostało przez papieża Benedykta XVI wybrane jako motyw przewodni orędzia na Wielki Post 2012. Papież wyjaśnia, że oznacza ono skierowanie uwagi na sprawy bliźniego, na jego pełne dobro: materialne, cielesne i duchowe: *Nigdy nie powinniśmy być niezdolni do "miłosierdzia" nad cierpiącym człowiekiem; nigdy nie mogą tak mocno*

pochłaniać nas nasze sprawy i nasze problemy, że nasze serce stanie się głuche na wołanie ubogiego.

O ile w kwestii dóbr materialnych papieskie wezwanie do wzajemnej troski będzie zapewne powszechnie rozumiane i akceptowane - także przez niewierzących, to już w odniesieniu do kwestii duchowych, a co za tym idzie - także moralnych zderza się ono boleśnie z postawą specyficznie rozumianej tolerancji, która stała się synonimem nowoczesności, szyldem porządku ponowoczesnego świata. Jest to świat, w którym nie obowiązują już żadne koordynaty, nie ma już tego, co "na górze" i tego co "na dole", nie ma dobra i zła. Dążenie do poprawności za wszelką cenę każe szanować "sferę prywatną" bliźniego, a jego moralne wybory uważać za kwestię osobistą, w którą nikt nie powinien się wtrącać. Gdyby chcieć użyć żeglarskiego porównania, nie ma już wspólnego dla wszystkich kompasu, ale każdy powołuje się na własny kompas. Jednak nikt nie zakłada już istnienia bieguna magnetycznego, który jest kluczem do właściwego funkcjonowania kompasu i dzięki któremu możliwa jest w ogóle orientacja na pełnym morzu. Co pokazuje taki pojedynczy kompas, który został niejako odcięty od bieguna? Najbliższe żelastwo! Zwolennicy takich prywatnych kompasów nie dostrzegają, że jeżeli żaglowiec będzie w ten sposób sterowany, jego wejścia na śmiertelnośćne mielizny jest tylko kwestią czasu....

Chrześcijaństwo mówi tu zupełnie odmiennym językiem niż współczesna mentalność. Braterskie napomnienie w przypadku dostrzeżonego zła powinno być dla chrześcijanina potrzebą serca, naturalnym odruchem. Benedykt XVI nie pozostawia wątpliwości co do powinności braterskiego napomnienia: *Nie należy milczeć w obliczu zła. Mam tu na myśli postawę tych chrześcijan, którzy przez szacunek dla człowieka lub po prostu z wygodnictwa dostosowują się do powszechnie panującej mentalności, zamiast przestrzegać swych braci przed tymi sposobami myślenia i postępowania, które są sprzeczne z prawdą i nie*

prowadzą do dobra. Ta troska o dobro wynika z przekonania o głębokim związku z drugimi. Jeżeli już na płaszczyźnie społecznej nikt nie jest samotną wyspą, to co dopiero we wspólnocie Kościoła! Dobro czynione przez drugich wynosi i mnie w wzwyż, zło, które czynią zatruwa i moje życie.

Obowiązek napomnienia, jak każdy inny moralny obowiązek, może jednak zostać wykrzywiony. Nie brak "zawodowych napominaczy", którzy bardzo gorliwie i skrupulatnie, jak się im wydaje, spełniają ten obowiązek, którym jednak nie chodzi wcale o bliźniego, tylko o autoprezentację. Przypominając o obowiązku braterskiego napomnienia, Benedykt XVI podkreśla, że *upomnienie chrześcijańskie nie jest nigdy formułowane w duchu potępienia czy oskarżenia; wypływa zawsze z miłości i miłosierdzia i rodzi się z prawdziwej troski o dobro brata.* Troska o brata - to troska o jego zbawienie, która nie pozwala obojętnie patrzeć, gdy jego życie zmierza ku ostatecznej i totalnej katastrofie.

W jaki sposób chrześcijanie mogą we współczesnym świecie przekonująco troszczyć się o dobro duchowe bliźnich? Zapewnie nie obejdzie się bez pomówień o wścibstwo, nietolerancję, ciemnogród i konserwatyzm - bo to są zawsze sztandarowe zarzuty wobec ludzi przejmujących się swoją wiarą i traktujących ją poważnie. Mimo to wiele zależy od "stylu" braterskiego napomnienia. Również w tej sytuacji, jak w każdym innym przypadku, wiara chrześcijańska, jeśli tylko jest autentyczna, tworzy "nowe bukłaki" - nowy styl życia, obchodzenia się ze sobą, nową kulturę relacji międzyludzkich. Okazuje się ona także w tych sytuacjach, gdy trzeba dotknąć cudzych ran, obnażyć zło, powiedzieć "nie". Nowa kultura objawia się także, a może szczególnie wtedy, gdy napomnienie wywołuje agresję, opryskliwość, oburzenie.

A co wtedy, gdy zabraknie tej płynącej z wiary nowej kultury? Wtedy lepiej będzie, gdy chrześcijanin wygłosił swoje upomnienie braterskie najpierw... przed lustrem.

Kwiecień 2012

Otwarta smoleńska rana

Liczne były głosy, które bezpośrednio po katastrofie prezydenckiego Tupolewa w dniu 10 kwietnia 2010 r. nawoływały do powstrzymania się od ferowania zbyt pochopnych wyroków. Wyjaśnienie takich wydarzeń, jak argumentowano, wymaga żmudnych badań, a przede wszystkim czasu. Mijają dwa lata od tamtego wstrząsającego dnia i chyba już nikt nie ma odwagi nawoływać do dalszego czekania. Nawet najostrożniejsi obserwatorzy są zmuszeni przyznać, że wyjaśnienie przebiegu katastrofy dalekie jest od zadowalającego. Niszczący wrak prezydenckiego Tupolewa i fakt odmowy zwrotu czarnych skrzynek - w obydwu przypadkach własności Rzeczypospolitej Polskiej, urosły do rangi symbolu. Niechęć do przeprowadzenia dogłębnego śledztwa widać na każdym kroku niemalże gołym okiem.

Wyjaśnienie smoleńskiej katastrofy, wyjaśnienie ostateczne i bezstronne, najlepiej dokonane przez niezależną międzynarodową komisję, jest dzisiaj, po dwóch latach nieudanych wysiłków i częściowych, nierzadko nierzetelnych raportów, jest dzisiaj jeszcze bardziej niż przed dwoma laty, wymogiem absolutnie niezbędnym, o którym należy także publicznie przypominać.

Wyjaśnienie to jest koniecznie co najmniej z dwóch powodów. Pierwszym z nich jest cierpienie rodzin ofiar tej katastrofy. Nagła, tragiczna śmierć najbliższych, która już sama w sobie stanowi traumę, na zawsze wpisana

w życiorysy osieroconych, staje się wręcz nie do zniesienia, gdy rodziny ofiar mają podstawy twierdzić, że okoliczności śmierci ich najbliższych pozostają niewyjaśnione, a całą sprawę otacza zmowa milczenia. Dodatkowym argumentem jest zbyt pochopne, jak się okazuje, bądź też oparte na nierzetelnych przesłankach przypisywanie winy załodze lub też innym osobom, co dodatkowo obciąża i rani pozostałych przy życiu najbliższych.

Ale jest też drugi powód, dla którego wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej jest niezbędne. Fakt, że jej ofiary należały do różnych obozów i opcji politycznych, pozwalał przynajmniej żywić nadzieję, że we wspólnym bólu różnice partyjne i światopoglądowe zejdą na drugi plan. Tak się jednak nie stało. Katastrofa smoleńska urosła do rozmiarów cezury, która dzieli nie tylko najnowszą historię Polski na czas "przed" i czas "po". Stosunek do tego wydarzenia podzielił także na trwałe Polaków i stał się wyznacznikiem opozycyjnych wobec siebie postaw społeczno-politycznych. Chodzi już nie tylko o odniesienie do takich kwestii, jak odpowiedzialność za przebieg lotu, następstwo wydarzeń prowadzących do katastrofy czy odpowiedzialność za tę tragedię, ale także o rozumienie takich fundamentalnych pojęć, jak patriotyzm, stosunek do historii naszej Ojczyzny, a nawet do podstawowych wartości: prawdomówności, honoru, bezstronności, godności.

Odkrycie całej prawdy o katastrofie smoleńskiej jest w żywotnym interesie polskiego społeczeństwa, ale także każdej ze stron zwaśnionych tą tragedią. Mogłoby ono ostatecznie sfalsyfikować bądź też uprawdopodobnić hipotezę o rzekomym zamachu i w ten sposób przeciąć wszelkie spekulacje. Jakkolwiek hipotezy tego typu łatwo jest określić pogardliwie jako "spiskowe", nie sposób nie przyznać, że żywią się one tym dziwnym półmrokiem, który otacza kulisy tej tragedii. Określanie kogoś, kto stawia niewygodne pytania, mianem osoby niestabilnej emocjonalnie, która w karygodny sposób rozgrywa

polityczną grę na trumnach ofiar, jest nieuczciwe. Jeżeli odpowiedzią na tyle kluczowych pytań i wątpliwości są pokrętne i wymijające wyjaśnienia bądź milczenie, nie można się dziwić, że najbardziej mroczne hipotezy przeżywają wysoką koniunkturę.

Porównanie Smoleńska z Katyniem, poza oczywistą bliskością miejsc i związkiem obchodów, ma swoje granice i nie powinno być nadwyreżane. Jeżeli jednak katastrofa smoleńska nie zostanie w pełni i bezstronnie wyjaśniona, oba te wydarzenia będą na zawsze związane z tym samym zarzutem zatajenia prawdy, a Smoleńsk pozostaje otwartą jęczącą się raną.

Maj 2012

Chodzi tylko o prawdę?

O wywiadzie – rzece Tomasza P. Terlikowskiego z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, opublikowanym pod wiele mówiącym tytułem *Chodzi mi tylko o prawdę*, zapewne niewielu dowiedziało się z reklam wydawniczych; niewielu też pewnie poznało jego treść, zagłębiając się w samodzielą lekturę. Piszący te słowa dowiedział się o tej książce z tekstu na jednym z portali internetowych, zatytułowanym: *W Kościele istnieje lobby homoseksualne*. Oczywiście książka traktuje nie tylko o skandalach w Kościele. Jest w niej sporo ciekawych opowieści o pracy z niepełnosprawnymi, ciągle jeszcze zbyt mało znana w Polsce historia ludobójstwa, jakiego Turcy dopuścili się na Ormianach, a także wiele niechcianych, bo politycznie niepoprawnych, a niezwykle ważnych faktów dotyczących relacji polsko-ukraińskich. Fragmenty te czyta się z autentycznym podziwem dla postawy głównego bohatera książki. Czy to, że jego uwagi dotyczące Kościoła nie budzą już takiego szacunku, ale wprost

przeciwnie - irytację, jest wynikiem jakiejś fałszywej korporacyjnej solidarności, która każe, jak twierdzi ks. Isakowicz-Zaleski, "zabetonowywać", czyli ostatecznie ukrywać pod zasłoną milczenia wszelkie trudne sprawy? A może jest właśnie tak, że to w odniesieniu do tej tematyki wynurzenia autora pozostają w poważnym stopniu nieadekwatne do tytułu?

Nie ulega wątpliwości, że ks. Isakowicz-Zaleski dotyka bolesnych faktów i że każdy, kto utożsamia się z Kościołem jako własną duchową rodziną, musi wobec nich odczuwać przygnębienie i wstyd. Nie sposób ich negować, przede wszystkim nie sposób negować zjawiska homoseksualizmu wśród duchownych. Sięgając do określeń św. Pawła (Ef 5,27), trzeba stwierdzić, że jest to niewątpliwie niezwykle poważna skaza i plama na obliczu Kościoła. Jeśli faktycznie, jak twierdzi Ks. Isakowicz-Zaleski, istnieją gdzieś wśród duchownych lobby homoseksualne, to są to niewątpliwie struktury grzechu, w rażący sposób naruszające katolicką naukę moralną i będące rakiem, niszczącym tkankę Kościoła. Zgorszenie związane z ich istnieniem podkreśla fakt, że Kościół katolicki jest w tej chwili jedyną chrześcijańską i działającą na skalę globalną społecznością, która uważa skłonność homoseksualną za zaburzenie, a aktywność homoseksualną za poważny grzech. Czy więc można podnosić zarzuty wobec nazwania tego grzechu w tej książce po imieniu? Oczywiście nie. Nie samo wskazanie na ten problem powoduje irytację (przecież nie jest ono w żaden sposób nieznany!), ale sposób, w jakim to się w książce ks. Isakowicza-Zaleskiego dokonuje. Oskarżenia zostają sformułowane ogólnikowo, czasami wydaje się, że autor opiera się po prostu na plotkach. Przy tym są one tak daleko idące, że czytelnik ma wrażenie, że niemalże cały Kościół tonie w powodzi zboczeń seksualnych, że szeregi katolickiego duchowieństwa pełne są praktykujących homoseksualistów, a kto miał nieszczęście studiować w Rzymie, ten musi być niemalże naznaczony tego rodzaju mafijnymi strukturami. Do

tego dochodzi jeszcze wielokrotnie powtarzana teza o feudalnej strukturze Kościoła, o biskupach, którzy są przyczyną większości odejść księży z kapłaństwa czy też o wątpliwej wartości celibatu. Ze szczególną nonszalancją, niemalże pogardą, odnosi się autor do osoby kardynała Stanisława Dziwisza. Można mieć różne zdanie na temat jego zdolności przywódczych i krasomówczych czy sympatii politycznych, ale wyśmiewanie go jako kogoś, kogo posługa biskupia ogranicza się do budowania pomników Janowi Pawłowi II i rozdawania relikwii z kroplami jego krwi, jest po prostu niesmaczne i aroganckie.

O grzechu w Kościele mówić trzeba i trzeba go piętnować. Jest to zdrowy odruch samoobrony wspólnoty wierzących. Zawsze jednak taka krytyka musi być poprzedzona pytaniem o to, czy zachowuje ona ewangeliczną miarę i komu będzie ostatecznie służyć. W powodzi formułowanych w książce niewyszukanych zarzutów, prezentowanych czasami w naprawdę kiepskim stylu, nikną zupełnie stwierdzenia, że np. autor sam nie spotkał się (poza aktami SB, do których miał dostęp) z rażącymi sytuacjami homoseksualizmu, że homoseksualne lobby obejmuje zdecydowaną mniejszość duchownych i że właściwie nie można mówić o kryzysie Kościoła w Polsce, ale raczej, że znajduje się on na zakręcie. Smutne jest to, że zapewne wbrew intencjom głównego bohatera książki, jak też jej redaktora, sposób uzdrawiania sytuacji w Kościele, jaki wybrali, nie tylko nie przyczyni się do jego oczyszczenia, ale zostanie wykorzystany przez tych, którym na zdrowiu i dobrej kondycji Kościoła absolutnie nie zależy.

Prezentowany w książce obraz nie jest po prostu całą prawdą o Kościele. I nawet, jeżeli struktura wywiadu – rzeki ze swej natury prezentuje subiektywne stanowisko odpowiadającego na pytania, to katolicki kapłan nigdy nie jest po prostu jedynie osobą prywatną. Można podzielać poglądy ks. Isakowicza-Zaleskiego bądź się z nimi nie zgadzać, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w tej

książce zabrakło mu jednej ważnej cechy, której nigdy nie powinno brakować katolickiemu księdzu: odpowiedzialności za słowo.

Czerwiec 2012

Oświadczenie niewiary

Trudno ocenić, czy zorganizowany w maju przez partię Janusza Palikota "tydzień apostazji" był medialną próbą zwrócenia na siebie uwagi, czy raczej akcją mającą uruchomić lawinę występowania niezadowolonych katolików z Kościoła. Zapewne oba powody odgrywały tu pewną rolę. Sam lider uczynił to w sposób mający zapewne nawiązywać do gestu Marcina Lutra, przybijającego pergamin z 95 тезami dotyczącymi reformy Kościoła na drzwi katedry w Wittenberdze: pismo wyrażające wolę Palikota wystąpienia z Kościoła wylądowało na drzwiach bazyliki św. Franciszka, znajdującej się vis à vis "papieskiego" okna krakowskiej kurii.

Można by zapytać, skąd ta potrzeba wystąpienia z Kościoła? W deklaracjach współczesnych antyklerykałów w stylu Janusza Palikota pojawiają się standardowe zastrzeżenia, mające nadać ich apostazji znamiona czynu racjonalnego, niemalże honorowego i szlachetnego. Zarzuty pazerności duchowieństwa, jego upolitycznienia i niezdolności Kościoła do samooczyszczenia są tak samo prawdziwe, jak fałszywe. Są one w zasadzie klasycznym przykładem generalizujących uprzedzeń. Nie trzeba wiele przenikliwości, by dostrzec w nich, za fasadą pozorowanego sprzeciwu wobec zła, nienawiść do Kościoła i tego, co Kościół reprezentuje. Dlatego ogromna większość Polaków, nawet tych, którzy nie identyfikują się z Kościołem, nie widzi w tego rodzaju manifestacjach ani cienia szlachetnej krytyki, mającej

prowadzić do przemiany Kościoła. Założenie, że przywódcy zdeklarowanie antyklerykalnej partii zależy na dobru wiary chrześcijańskiej, byłoby tak samo naiwne, jak to, że lisowi zależy na dobru mieszkańek kurnika.

Mimo to warto jednak przyrzeć się bliżej temu gestowi, pomijając przez chwilę jego teatralną ostentację. Co to znaczy wystąpić z Kościoła? W przekonaniu Kościoła katolickiego nie da się unieważnić chrztu świętego. Czy jednak oznacza to, że raz ochrzczeni są na zawsze "skazani" na bycie katolikami? Oczywiście nie. Oznacza to tylko tyle, że szansa powrotu do wspólnoty Chrystusa jest zawsze otwarta, a pieczęcią potwierdzającą tę szansę jest właśnie chrzest. Ten fundament w żaden sposób jednak nie umniejsza i nie bagatelizuje powagi tego gestu. Śmiertelnej powagi.

Niezależnie od kanonicznej poprawności i skuteczności oraz prawnych konsekwencji aktu publicznej apostazji, jest on bardzo poważnym grzechem. Bóg sam widzi serce człowieka i potrafi ocenić jego rzeczywistą winę, jednak trudno w tym wypadku zakładać dobrą wolę. Opuszczający Kościół katolicki Janusz Palikot i jego partyjni komilitoni nie kierują swych kroków ku jakiejś innej chrześcijańskiej wspólnotcie, bardziej ubogiej, bardziej oczyszczonej i całkowicie apolitycznej, czyli ku jakiemuś - według ich miary - "kościółowi idealnemu", ale pozostają poza wspólnotą wierzących. Czy sądzą, że sami z siebie są w stanie "wyprodukować" swoje zbawienie? A może raczej nie interesuje ich już żadne zbawienie i żaden chrześcijański Bóg? Może ich ideałem jest ateistyczne społeczeństwo, z którego wyrugowane zostałyby nie tylko chrześcijańskie symbole, ale także chrześcijańskie wartości?

Dla każdego, kto traktuje Kościół katolicki jako swoją rodzinę i miejsce szczególnej obecności Chrystusa, każda apostazja - zarówno ta teatralnie ogłoszona, jak też ta cicha, publicznie niedostrzegalna - wiąże się z bolesnym poczuciem straty. O nikogo nie jest w Kościele za dużo, każdy jest ważny,

ukochany przez Boga i wezwany do aktywnego budowania dobra wspólnoty wierzących. Ale obok tego bolesnego poczucia straty musi się w tym wypadku także pojawić uczucie nadziei. Wydaje się, że w Polsce rozpoczyna się proces bolesnego wprowadzenia, ale absolutnie niezbędnego oczyszczenia Kościoła. Jego elementem jest także jasna deklaracja niewiary nominalnych chrześcijan, którzy nigdy faktycznie nie chcieli doń należeć. Zapewne w najbliższych latach takich spektakularnych odejść i apostazji będzie więcej, i to nie tylko w szeregach ludzi świeckich, ale także duchownych. Chociaż będzie to proces niewątpliwie bolesny, jednak zdecydowanie lepszy od chrześcijaństwa fasadowego, pozorowanego, lemoniadowego, od podwójnego życia, w którym nie dostrzega się sprzeczności pomiędzy odświętnie deklarowanym chrześcijaństwem i codziennie praktykowanym ateizmem. Owczarnia Chrystusa stanie się mniejsza. Oby tylko nie straciła przez to odwagi i stała się bardziej świadoma mocy Bożej, którą w sobie nosi.

Lipiec 2012

Szczęście rodzinne kontra talibowie

Po euforycznych komentarzach związany z EURO 2012, odżyły w dyskusji medialnej tematy i spory polityczne. Jednym z nich jest kwestia regulacji prawnej zapłodnienia in vitro. Wydawać by się mogło, że wszystkie argumenty zostały już rozważone, ale mimo trudno oprzeć się wrażeniu, że dyskusja na ten temat uzyskała nową jakość. Jej przykładem może być opublikowany w jednym z lipcowych numerów *Newsweeka* tekst Małgorzaty Świąchowicz zatytułowany "Widok na szczęście". Warto przyjrzeć się bliżej sposobowi argumentacji, jaki wybrała autorka, pragnąca wyrazić swoje poparcie dla in vitro. Nowy sposób

argumentacji polega na... odejściu od rzeczowych argumentów, które sięgałyby sedna problemu. We wspomnianym artykule ich nie ma. Co więcej, ich dyskutowanie określone zostaje przez rozmówców, jakich wybrała autorka, jako "spory ideologiczne" albo "ideologiczna młócka", do której nie warto, a nawet nie wolno wracać. Zamiast tego dekretuje się, że dyskusja została zakończona, oczywiście na korzyść zwolenników in vitro i że teraz trzeba tylko przekonać do tej opcji społeczeństwo.

Instrumentem pozwalającym osiągnąć ten cel jest nowa taktyka, bazująca na trzech elementach: wyśmiewanie oponentów, podsycanie kompleksów oraz eksponowanie szczęścia rodziców, którzy doczekali się dziecka z in vitro. Wszystkie te elementy znaleźć można we wspomnianym wyżej artykule. Najpierw zostaje w nim wyśmiana NaProTechnologia jako kuriozalne połączenie galaretkowej diety z "gwałceniem z zegarkiem w rękę". By pokazać całkowitą nieprzydatność NaProTechnologii jako alternatywy dla in vitro autorka dopuszcza do głosu jedynie osoby rozczarowane tą metodą. Nie ma w jej tekście ani głosu tych, którzy po nieudanym zabiegu in vitro właśnie dzięki NaProTechnologii zostali rodzicami, ani też tych, którzy bez skutku poddali się wielokrotnemu zabiegowi in vitro i wreszcie zdecydowali się na adopcję. Pewnie niechcący autorka pośrednio wskazuje na problemy związane z in vitro, szczególnie jego ograniczoną skuteczność, wyrażając oburzenie z powodu braku finansowania tego typu zabiegów w Polsce i pokazując koszty, jakie spadają na pragnących dziecka pary, sięgające nawet 80 tys. złotych. Dlaczego aż tyle? Bo często koniecznych jest kilka cykli zapłodnienia in vitro, a i to wcale nie gwarantuje sukcesu.

W tekście Małgorzaty Świąchowicz pojawia się także mocny akcent podsycający kompleksy Polaków. Przesłanie jest jasne: jesteśmy beznadziejnie zapóźnieni w stosunku do innych krajów Europy, ideologicznie zmanipulowani

(rozmówcy autorki określają sytuację w tej dziedzinie w naszym kraju jako "ciemne średniowiecze") i nie stosujący się do powszechnie przyjętych standardów medycznych. Jak jednak ocenić, czy Polska jest rzeczywiście zapóźniona, skoro dyskusja na argumenty jest określana jako "ideologiczna młócka"? A może to postępową Europą brnie w kierunku humanitarnej katastrofy, której wyrazem jest szafowanie życiem najsłabszych?

I wreszcie trzeci element nowej, ofensywnej taktyki zwolenników in vitro: akcentowanie szczęścia z powodu upragnionego macierzyństwa. Czy jednak jest w tym coś naganego? Czy można kogoś winić za to, że pokazuje światu swoje upragnione dziecko, uzyskane poprzez zapłodnienie in vitro? Czy to właśnie te z górą cztery miliony dzieci z in vitro, żyjące obecnie na świecie nie są dla niej najlepszą rekomendacją i najsilniejszym argumentem w dyskusji? Nikt nie ma zamiaru negować szczęścia rodziców dzieci z in vitro, ani zabraniać jego eksponowania. Ale nie wolno też zabraniać zadawania im niewygodnych pytań, gdyż bez odpowiedzi na nie obraz zapłodnienia in vitro będzie połowiczny i nieprawdziwy. Zasadnicze jest tu pytanie o cenę rodzicielskiego szczęścia, którym jest los rodzeństwa każdego dziecka - nazwijmy go tutaj imieniem Krzysiu -, które dzięki in vitro przyszło na świat. Krzysiu jest dzisiaj niewątpliwie kochany, ale ta miłość dosięgła go z opóźnieniem. Na początku, gdy Krzysiu wraz ze swoim rodzeństwem już istniał (jako grupa uzyskanych dzięki zapłodnieniu in vitro embrionów), jego rodzice wcale o nim konkretnie nie myśleli. Pragnęli i kochali jedynie jakieś anonimowe dziecko swoich marzeń. Ich obecną miłość Krzysiu zawdzięcza temu, że to on właśnie okazał się zwycięzcą w wyścigu, to on zagnieździł się w macicy swojej matki i został przez nią urodzony. Bo przecież mógł być wśród tych swoich braci i sióstr, którym to się nie udało i które zginęły po drodze albo które być może do dzisiaj tkwią w laboratoryjnych zamrażarkach. Tu najprawdopodobniej zakończy się ich krótka

przygoda z życiem. W najlepszym wypadku będzie im dane raz jeszcze stanąć do wyścigu o prawo do dalszej egzystencji, gdy matka powtórnie zgodzi się na transfer do macicy, a wtedy być może któreś z nich uniknie śmierci. Przeciwnicy in vitro upominają się właśnie o to: o *bezwarunkową* miłość dla każdego poczętego dziecka.

W tym miejscu trzeba wskazać na to, co we wspomnianym numerze Newsweeka jest najbardziej bulwersujące: nie jest nim sam tekst Małgorzaty Świąchowicz, ale jego zapowiedź na okładce (być może nie pochodząca od autorki). Widać na niej obrazek dziecka zamkniętego w laboratoryjnej kolbie i napis: "Talibów wojna z dziećmi. Dlaczego nasza prawica nienawidzi dzieci z probówki". Ten tytuł wprawia w osłupienie, bo stanowi pewne apogeum nowej taktyki zwolenników in vitro. Posądzenie o nienawiść do dzieci skierowane w stronę tych, których centralnym argumentem jest upominanie się o szacunek dla każdego poczętego dziecka oraz przyrównywanie ich do talibów, przypomina najgorsze metody brutalnej propagandy, która nie tylko gardzi prawdą, ale która jest gotowa sięgnąć po każdy, nawet najbardziej podły środek, by zrealizować własne cele. To rzeczywiście jest nowa jakość. Z żalem trzeba tylko stwierdzić, że pojęcie "jakości", które zasadniczo jest pojęciem pozytywnym, może określać także zdziczenie dziennikarskich obyczajów.

Sierpień 2012

Homoekspansji ciąg dalszy

Odrzucenie w połowie lipca 2012 przez znaczną część posłów projektu ustawy o związkach partnerskich niewątpliwie cieszy. Na ocenę, czy świadczy to o zdrowym odruchu sprzeciwu wobec deprecjonowania znaczenia małżeństwa,

czy też jedynie jest przejściowym i bezideowym wyrazem kalkulacji politycznych, przyjdzie jeszcze poczekać. Chociaż przedstawiony projekt dotyczył ogólnie związków partnerskich, jego inicjatorami i szczególnie aktywnymi promotorami były środowiska homoseksualne. Nikt rozsądny nie uwierzy, że formalna legalizacja związków partnerskich ma na celu jedynie usunięcie barier, na jakie rzekomo napotykają zawierający je ludzie. Prawo polskie przewiduje tak szeroki wachlarz możliwości zawierania umów między osobami, że trudno sądzić, by na tej drodze nie można było zabezpieczyć również praw, oczekiwań i roszczeń osób żyjących w tego typu związkach. Trudno też dać wiarę stwierdzeniom wyrażonym w uzasadnieniu do proponowanej ustawy o związkach partnerskich: *Celem projektu jest poszerzenie sfery stabilnych, trwałych, uznawanych przez prawo, podstawowych związków międzyludzkich; sfera ta jest dziś ograniczona wyłącznie do małżeństw, których pary jedнопłciowe zawrzeć nie mogą, a pary różnopłciowe – nie zawsze chcą*. Właśnie wymóg stabilności i trwałości jest tym, co sprawia, że niektóre heteroseksualne pary nie chcą zawierać małżeństwa (czyż to nie właśnie pojęcie "partnerstwa" ma wskazywać na alternatywę dla rzekomo "niepartnerskiego", bo stabilnego trwałego i wiernego małżeństwa?), a środowiska homoseksualne nie kryją się z tym, że zmienność partnerów i płynność relacji seksualnych jest cechą charakterystyczną gejowskich i lesbijskich relacji.

Projekt legalizacji (homoseksualnych) związków partnerskich zmierza do przełamania oporu znacznej (szczególnie katolickiej) części opinii publicznej oraz wytworzenie moralnego i prawnego przymusu szacunku dla tego typu związków. Legalizacja stanowi przy tym drugi, decydujący krok tej kampanii.

Pierwszym krokiem była (i nadal jest!) agresywna promocja pozytywnego obrazu partnerskich związków homoseksualnych poprzez kształtowanie homo-

przychylnego języka medialnego oraz groźbę ostracyzmu i napiętnowania skierowaną wobec tych, którzy mają odmienne zdanie. Pojęcie "mowa nienawiści" należy w tym kontekście niewątpliwie do najbardziej nadużywanych wyrażeń w debacie publicznej. Każda krytyka homoseksualizmu, szczególnie, jeśli jest wypowiediana przez osoby znaczące i rozpoznawalne, uchodzi za mowę nienawiści. Ktoś, kto odważyłby się stwierdzić, że homoseksualizm jest zaburzeniem psychoseksualnym, a związki tego typu są niemoralne, musi liczyć się z tym, że zostanie wyzwany od homofobów i faszystów. Szczególnie celebryci, ludzie nauki i osoby eksponowane w mediach boją się tej niewygodnej łatki jak ognia. Wobec tak zmasowanej kampanii po stronie przeciwników legalizacji związków homoseksualnych stopniowo zalega cisza, na tle której ofensywna promocja wyzwolonej z wszelkich kanonów seksualności brzmi jeszcze bardziej przekonująco.

Kiedy ten pierwszy krok jest dokonany (w narracji propagatorów homoseksualizmu: kiedy społeczeństwo dojrzeje już do tego), można przystąpić do rozgrywki na poziomie legislacyjnym. Legalizacja partnerskich związków homoseksualnych nie tylko ma przypieczętować epokową zmianę w mentalności społecznej, ale ma zmusić także przeciwników do publicznego okazywania szacunku tego typu związkom. Urzędnicy stanu cywilnego będą zmuszeni do ich rejestracji, nauczyciele - do uczenia dzieci o tej "alternatywie" dla małżeństwa, a wszyscy podatnicy będą musieli finansować uzyskane przez te związki świadczenia analogiczne do tych, z jakich korzystają małżeństwa. I jeszcze jedno - nie mniej istotne. Aktywiści homoseksualni nie kryją, że na legalizacji ich związków partnerskich się nie skończy, deklarując, że na dzieci przyjdzie jeszcze czas (R. Biedroń). Naiwnością byłoby sądzić, że można wyrazić zgodę na związki partnerskie par homoseksualnych, zamykając im jednocześnie perspektywę adopcji dzieci. Każdy świadomy obywatel, a szczególnie każdy

poseł, powinien zdać sobie sprawę z tego, że dzisiejsze "tak" dla legalizacji związków partnerskich jest w konsekwencji otwarciem drogi do adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Popierający projekt legalizacji związków partnerskich powinni zadać sobie poważne pytanie, czy tego naprawdę chcą.

Wrzesień 2012

"Wkraczamy na drogę pojednania..."

Podpisany w sierpniu, a 9 września 2012 r. odczytany w kościołach wspólny apel Kościoła Katolickiego w Polsce oraz Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wzbudził różne reakcje, nierzadko krytyczne. Krytyka ta pochodziła nie tylko z kręgów, dla których już samo podpisanie przesłania na Zamku Królewskim w Warszawie miało być zamachem na świeckość i neutralność państwa, a fakt, że został zaadresowany nie tylko do wiernych, ale do narodów polskiego i rosyjskiego miał stanowić niedopuszczalny akt ingerencji Kościoła w sprawy państwa. Również część wiernych mocno przywiązanych do Kościoła przyjęła ten gest bardzo chłodno, czasami wręcz z deklarowaną niechęcią. Spektrum krytyków obejmuje tych, dla których osobiste i rodzinne rany, zadane przez reżim komunistyczny, jeszcze się nie zagoiły, ale także osoby, dla których ścisła więź cerkwi z państwem komunistycznym (a także z obecnymi władzami w Rosji) jest nie do przyjęcia, jak również tych, dla których nieskrywana niechęć strony rosyjskiej wobec dogłębnego wyjaśnienia przyczyn katastrofy smoleńskiej mocno przyćmiewa jej wiarygodność. Nie należy lekceważyć żadnego z powodów chłodnego dystansu wobec najnowszej inicjatywy Kościołów. W wielu wypadkach stoją za nim autentyczne problemy, a nie tylko polityczne kalkulacje lub osobowościowe uprzedzenia. Mimo tego

inicjatywa ta zasługuje na uwagę i może się okazać istotna, chociaż na owoce przyjdzie niewątpliwie długo czekać. Warto wskazać na kilka ważnych fragmentów tekstu.

Przebaczenie nie oznacza [...] zapomnienia

Tekst apelu od razu w pierwszej części nawołuje do pojednania, upatrując źródło niezgody i nienawiści w grzechu, zarówno indywidualnym, jak i wspólnotowym oraz społecznym i wzywając do przebaczenia i do zwrócenia się z prośbą o przebaczenie. Dla wielu krytycznych obserwatorów właśnie te słowa są raniące, gdyż mogą sprawiać wrażenia równoważności wzajemnych krzywd, przez co zafałszowane zostałyby historyczne fakty. Być może właśnie dlatego w przesłaniu mocno podkreśla się, że pojednanie nie może oznaczać ani zapomnienia o niewinnie przelanej krwi setek tysięcy ludzi, ani też nie może być ono budowane na retuszowaniu prawdy historycznej i zaniechaniu jej dogłębnego poznania i opublikowania. To zapewnienie jest niezwykle istotne. Bez niego cały apel przypominałby rzeczywiście inicjatywę propagandową.

Fałszywie rozumiana świeckość przybiera formę fundamentalizmu

Obok prośby o pojednanie przesłanie zawiera jeszcze drugi, równie, a może nawet bardziej istotny wątek: Kościoły jednym głosem występują przeciw zagrożeniom i niepokojącym tendencjom lansowanym przez wpływowe kręgi polityczne oraz europejskie i światowe grupy nacisku. Wskazując na dziesięciolecia przymusowej ateizacji związanej z systemami totalitarnymi, hierarchowie zwracają uwagę na tendencje, które dzisiaj w zawoalowanej formie dążą do tych samych celów, będąc w istocie nowymi odmianami totalitaryzmu. Chodzi o koncepcję świeckości, która pragnie eliminacji Kościoła wraz z symbolami i uroczystościami religijnymi z przestrzeni społecznej. Oznaczałoby to przymusową ateizację tej przestrzeni, czyli zawłaszczenie jej przez niewierzących oraz wypchnięcie ludzi otwarcie deklarujących swoją wiarę

do sfery prywatnej. Fakt, że wielkie wspólnoty religijne Polski i Rosji jednym głosem wyrażają sprzeciw wobec tych tendencji trzeba uznać za niezwykle cenny.

Kwestionuje się podstawowe zasady moralne oparte na Dekalogu

Równie ważne są te fragmenty przesłania, które po imieniu nazywają współczesne zagrożenia ludzkiego życia i rodziny: aborcję, eutanazję oraz legalizację i uprzywilejowanie związków jedнопłciowych. Kościół katolicki zawsze jasno i otwarcie protestował przeciwko zbrodniom skierowanym przeciw życiu i rodzinie. Głos ten został teraz wzmocniony przez jedną z najważniejszych wspólnot prawosławnych, przez co nabiera on jeszcze większego znaczenia w przestrzeni publicznej. Kościelny sprzeciw w tych dziedzinach bywa czasami postrzegany jako brak umiejętności przystosowania się do dokonujących się zmian społecznych. Czy jednak rzeczywiście mamy do czynienia z nieuchronnymi zmianami, które na podobieństwo pogody należałoby zaakceptować? Promocja aborcji i eutanazji oraz coraz bardziej agresywna homopropaganda nie dokonuje się przecież automatycznie, ale jest wynikiem intensywnych kampanii środowisk liberalnych i organizacji promujących laicki kształt świata. Właściwą reakcją ludzi wierzących wobec tych tendencji nie jest na pewno kapitulacja, ale raczej mobilizacja sił i odważne opowiedzenie się na rzecz fundamentalnych wartości życia i rodziny. Przesłanie Kościołów jest niewątpliwie mocnym akcentem wspierającym te wysiłki.

Cedry Libanu

Chociaż libańskie lasy cedrowe, znane i cenione w starożytności i traktowane jako symbol obfitości i bogactwa, zostały już niemal doszczętnie wycięte, to jednak warunki klimatyczne i geograficzne w naturalny niemalże sposób zawsze predestynowały Liban do bycia krajem dobrobytu. Jeszcze do lat siedemdziesiątych XX w. kraj ten nazywany był Szwajcarią Bliskiego Wschodu. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat Liban, jak cały Bliski Wschód, stał się areną niepokojów na tle religijnym. Może dlatego wrześniowa wizyta Benedykta XVI w tym kraju przykuła w takim stopniu uwagę obserwatorów. Bliskość czasowa rocznicy zamachów na World Trade Center, krwawa wojna domowa w sąsiadującej z Libanem Syrii, ale także napięcia w samym Libanie, ale przede wszystkim fala przemocy wobec chrześcijan ze strony islamskich ekstremistów w wielu regionach świata sprawiły, że podróż ta była określana jako niebezpieczna. Może jednak właśnie dlatego była ona bardzo ważna.

Papież odwiedził region, z którego wzięły początek trzy wielkie monoteistyczne religie świata, ale też właśnie tutaj, jak w żadnej innej części świata, kontrowersje na tle religijnym i kulturowym ujawniły się z taką ostrością. Trudno się więc dziwić, że temat pokoju, pojednania i tolerancji religijnej stanowił główny watek papieskich wystąpień. Już w czasie konferencji prasowej na pokładzie samolotu w drodze do Libanu papież wskazał na problem, którego rozwiązanie mogłoby przyczynić się do ustania zbrojnej konfrontacji na Bliskim Wschodzie: *Chciałbym również powiedzieć, że trzeba zaprzestać przywozu broni, bo bez importu broni nie można kontynuować wojny. Zamiast importowania broni, co jest grzechem ciężkim, musimy*

importować idee pokoju, kreatywności, znajdować rozwiązania, aby akceptować każdego w jego odrębności; musimy więc ukazać w świecie poszanowanie religii jednych wobec drugich, poszanowanie człowieka jako stworzonego przez Boga, miłość bliźniego jako fundamentalną dla wszystkich religii. W ten sposób, ze wszystkimi możliwymi gestami, z pomocą także materialną, pomagać, aby zakończyła się wojna, przemoc, a wszyscy by mogli odbudować swój kraj.

Dla ludzi umęczonych nieustanną wojną wizyta Benedykta XVI była - jak to sami określali - jak łyk świeżej wody, jak powiew z innego świata, w którym możliwe jest pokojowe współistnienie między ludźmi różniących się wyznawaną wiarą. Przed spotkaniem z członkami rządu, korpusu dyplomatycznego, dostojnikami religijnymi i przedstawicielami świata kultury miał miejsce symboliczny gest: Benedykt XVI zasadził małą sadzonkę cedru - symbol Libanu. Ta wątła roślina, jak pokój, wymaga wielu starań i zabiegów, aby mogła przetrwać i stać się rozłożystym libańskim cedrem, takim, jakim zachwycali się psalmiści. *Dlaczego Bóg wybrał ten region?* - pytał Benedykt XVI - *Dlaczego żyje on w udręce? Wydaje mi się, że Bóg wybrał ten region, aby był on wzorcem, aby świadczył przed obliczem świata o tym, że człowiek może konkretnie żyć swym pragnieniem pokoju i pojednania! To dążenie jest od zawsze wpisane w plan Boga, który odcisnął go w sercu człowieka. Pragnę was podtrzymać w pokoju, gdyż Jezus, powiedział: Pokój mój daję wam.*

Centralnym motywem przemówienia Benedykta XVI był motyw ochrony życia. Jeśli świat chce żyć w pokoju musi bronić życia, piętnując nie tylko wojny i akty terrorystyczne, ale także wszelkie zamachy na życie istoty ludzkiej, kochanej i chcianej przez Boga. Nie ma ludzi drugorzędnych, którzy mogą być potraktowani jako środki do celu, których można użyć jako anonimowe mięso armatnie w wojennych potyczkach. Kiedy skutek braku pokoju odbiera się

życie pojedynczemu człowiekowi, zubożona zostaje cała ludzkość, podkreślił papież.

Dla wielu współczesnych ten apel o pokój, formułowany przez tak przecież filigranową i wątłą postać w białej papieskiej szacie, nie ma żadnego znaczenia. Wobec potężnych interesów państw, koncernów zbrojeniowych i grup polityczno-religijnych jest to dla wielu głos bezbronny, niegodny uwagi. Jednak właśnie takie pokorne i cierpliwe nawoływanie do opamiętania uruchamiało już nieraz w historii potencjał ludzkiej dobroci i szlachetnego zdecydowania, zdolny zmieniać historię. Dlatego nigdy nie wolno zaprzestać ufnej modlitwy, aby wizja autora psalmu 104, która opisuje pokój i dobrobyt tej krainy obrazami ze świata przyrody, znowu mogła stać się rzeczywistością na całym Bliskim Wschodzie: *Drzewa Pana mają wody do syta, cedry Libanu, które zasadził. Tam ptactwo zakłada gniazda, na cyprysach są domy bocianów. Wysokie góry dla kozic, a skały są kryjówką dla borsuków* (Ps 104, 16-17).

Listopad 2012

Patriotyzm - ponowna szkoła chodzenia

Ludzie, którzy ulegają ciężkim wypadkom, czasami mozolnie po raz drugi muszą nauczyć się sztuki chodzenia. Dzieje się to już inaczej, niż wtedy, gdy jako niemowlęta stawiali pierwsze kroki. Tym razem robią to świadomie, czasami konieczna jest przemyślna taktyka, by przyzwycząić kończyny i całe ciało na nowo do posłuszeństwa, w pewnym sensie "posiąść" je na nowo. Analogia ta wydaje się dobrze pasować do dyskusji na temat patriotyzmu, jaka wybucha co roku około Święta Niepodległości - 11 listopada. To, że wybuchowi tej dyskusji

towarzyszą od kilku lat co roku wybuchy petard, świadczy o palącej potrzebie jej prowadzenia.

Pojęcie, a jeszcze bardziej postawa patriotyzmu zostało utracone, stało się ofiarą politycznych utarczek. Zostało zepchnięte na margines, stało się synonimem konserwatywnego zamknięcia perspektywy, zaściankowości i ciasnoty. Ale akurat nie to jest tu najbardziej niepokojące. Prawdziwa utrata patriotyzmu nie wynika z tego, że wyszedł on z mody, jak wychodzą z mody dawne ubrania. Nawet trudno mówić o zapoznaniu postawy patriotycznej. Znacznie poważniejsze jest to, że postawa ta została zdyskredytowana, utożsamiona z ogolonymi głowami i zasłoniętymi twarzami, którzy demolują mienie publiczne w czasie świątecznych demonstracji. Kto wyznaje, że jest patriotą, ten jest nie tylko staroświecki, ale wręcz *musi* być faszystą i ksenofobem - tak myśli bardzo wielu Polaków. Utożsamienie patriotyzmu z pogardą dla inności, powiązaną z niskim progiem tolerancji dla innych poglądów i gotowością do używania przemocy, sprawiło, że stał się on podejrzany, niepopularny. Kto mimo wszystko deklaruje się jako patriota, pośpiesznie dodaje cały szereg dookreśleń, w którym odcina się od opisanych powyżej ksenofobicznych postaw. Utrata patriotyzmu jednak to podcięcie tętnic bardzo istotnemu wymiarowi ludzkiej egzystencji.

Człowiek jest nie tylko konsumentem, który zaspokaja swoje potrzeby tu i teraz. W takim przypadku to, gdzie żyję i kto wytwarza produkty, które konsumuję, nie byłoby w ogóle istotne. Wręcz przeciwnie, przywiązanie do ojczyzny (a co za tym idzie, także do ojcowizny, rozumianej nie w pierwszym rzędzie jako kawałek ziemi, ale jako pewne kulturowo-zwyczajowe dziedzictwo), może stanowić przeszkodę dla efektywności procesów rynkowych. Tymczasem właśnie owo "zakorzenienie" w bardzo istotny sposób określa człowieka. Nie jest ono nieistotnym dodatkiem do ludzkiej egzystencji,

który można sobie podarować, ale stanowi ważny element jednostkowej tożsamości. To, że takie zakorzenienie może przekształcić się w postawę nacjonalistyczną czy faszyzującą, nie dyskredytuje go. Każdą postawę i każdą wartość można zniekształcić. W jednej ze swoich bardzo osobistych wypowiedzi - a za taką należy uznać książkę "Pamięć i tożsamość" - Jan Paweł II przestrzega przed pokusą nacjonalizmu, którego cechą charakterystyczną jest to, że "uznaje tylko dobro własnego narodu i tylko do niego dąży, nie licząc się z prawami innych" (s. 72). Jednak właśnie prawidłowo rozumiany patriotyzm stanowi, zdaniem Papieża, antidotum na tę pokusę. Rozumiany przez Ojca Świętego "jako miłość ojczyzny, przyznaje [on] wszystkim innym narodom takie samo prawo jak własnemu, a zatem jest drogą do uporządkowanej miłości społecznej".

Ojczyzna stanowi pewien rodzaj dobra podstawowego, jak rodzina. Kto utracił szacunek dla postawy patriotycznej, a zatem wyzbył się także miłości ojczyzny, będzie musiał nauczyć się tej postawy na nowo. W sytuacji, gdy to patriotyzm stał się kartą przetargową w sporach politycznych i środkiem do zaskarżenia sobie sympatii wyborców, nie będzie to łatwe i może przypominać mozolną naukę chodzenia osoby, która utraciła kontrolę nad swoimi krokami. Ale tkwi w tej sytuacji utraty także szansa. Nowy, świadomie wykształcony patriotyzm będzie o wiele głębszy i stąd też o wiele szlachetniejszy. I nie jest to kwestia, którą można by zaliczyć do zagadnień drugorzędnych. Zależy od niej przyszłość polskiego społeczeństwa.

Grudzień 2012

"Wewnętrzne mocowanie się ze słowem (Łk 2, 19. 51)"

W taki dosyć zaskakujący sposób określa papież Benedykt XVI jeden z charakterystycznych rysów Łukaszowego obrazu Maryi. Czyni to w swojej najnowszej książce "Jezus z Nazaretu. Dzieciństwo". Nie ma to być, jak pisze papież, trzeci tom tryptyku o postaci Jezusa, ale *swoisty "przedpokój" do dwu pierwszych części*, odpowiednio do rangi, jakie w Ewangeliach zajmują opisy i interpretacje dzieciństwa Zbawcy. Bardziej niż w poprzednich częściach dzieło to ma charakter medytacji, albo też - jak je określa sam autor - dialogu z tekstami biblijnymi. Jak we wprowadzeniach do poprzednich tomów, również tutaj Benedykt deklaruje, że jego medytacja nie aspiruje do rangi ostatecznego i zamykającego dalszą dyskusję głosu.

Okoliczności związane z poczęciem i narodzeniem Jezusa Chrystusa stanowią tło, na którym ewangelisci Mateusz i Łukasz kreślą główne elementy swoich teologicznych koncepcji i zapowiadają dalszy rozwój wydarzeń. Charakter pierwszych rozdziałów Ewangelii Mateusza i Łukasza jest specyficzny: relacjonują one elementy historyczne, jednak nie na sposób reportażu, ale w świetle ich teologicznego znaczenia i przesłania, jakie zawierają. Jeszcze bardziej zatem niż pozostałe teksty ewangelii, są one refleksją teologiczną, utkaną z elementów wydarzeń historycznych. Właśnie ten specyficzny związek historii i teologii stanowił i nadal stanowi dla wielu interpretatorów problem, który niejednokrotnie prowadzi do umniejszenia znaczenia tych tekstów jako drugorzędnych, wręcz wtórnie dołączonych, raczej pobożnościowych, niż teologicznie doniosłych. Papież wyraźnie dystansuje się od tego rodzaju opinii i

polemizuje z nimi, wykorzystując przy tym opracowania dawnych i współczesnych egzegetów i teologów.

Komuś, kto czuje się związany z duchowością świętorodziną, musi jednak rzucić się w oczy przede wszystkim żywa charakterystyka postaci Maryi, Józefa i Jezusa, jaką z właściwą sobie swadą papież wydobywa z tekstów Mateuszowej i Łukaszowej Ewangelii Dzieciństwa. Podkreślając wyjątkową świętość i otwarcie na Boga tych postaci, Benedykt XVI wcale nie zamierza malować ich cukierkowatej laurki, ale pokazuje osoby, których życie naznaczone było zmaganiem o wierność i prawdę. Jak w przypadku wiary każdego z nas, również *wiara Maryi jest wiarą "w drodze", wiarą, która coraz bardziej pogrąża się w ciemnościach i przedzierając się przez nie, musi dojrzeć. Maryja nie rozumie słów Jezusa, jednak zachowuje je w swoim sercu i pozwala mu stopniowo dojrzewać* (s. 166). Józef, który ma wszystkie cechy człowieka obdarzonego wewnętrzną czujnością na rzeczy Boże oraz wrażliwością na Boga i Jego drogi (s. 59), musi zmierzyć się z sytuacją, która przerasta jego zrozumienie. Józef rozmyśla nad tym, jak zareagować na zaskakująca wiadomość o ciąży Maryi, gdy otrzymuje wskazówkę, by mimo wszystko i wbrew zdawałoby się oczywistym faktom przyjął Maryję do siebie. Można sobie wyobrazić, jak podkreśla Benedykt XVI, *jaką wewnętrzną walkę prowadzi z tym niesłychanym orędziem otrzymanym we śnie* (s. 60). Benedykt XVI nie waha się wydobyć i podkreślić typowo ludzkie elementy także w samoświadomości samego Jezusa. Chociaż pozostanie ona na zawsze tajemnicą, skrywającą Jego wyjątkową więź z Ojcem, to jednak jako prawdziwy człowiek *Jezus nie żyje w abstrakcyjnej wszechwiedzy, lecz jest zakorzeniony w konkretnej historii, w miejscu i czasie, w fazach ludzkiego życia, i stąd otrzymuje konkretny kształt*

swojej wiedzy. Widać tu więc bardzo jasno, że myślał i uczył się na ludzki sposób (s. 169).

W ten sposób Maryja, Józef i Jezus przestają być postaciami jasełkowymi, zastygłymi w pobożnej adoracji. Benedyktowi XVI udaje się odsłonić rąbek ich duchowej drogi, drogi do dojrzałej wiary, na której nie brak prób i ciemności. To samo, chociaż z bardzo różnym finałem, odnosi się do innych postaci, które pojawiają się w Ewangeliach Dzieciństwa: pasterzy, magów, Heroda, uczonych w prawie, Symeona i Anny. W ten sposób refleksja Benedykta XVI na temat dzieciństwa Chrystusa pragnie uczynić je owocnym dla współczesnych wierzących. Jedną z takich uwspółcześniających aplikacji jest uwaga, jaką papież formułuje przy omawianiu perykopy o magach (Mt 2, 1-12), która wpisuje się dobrze w główne przesłanie Roku Wiary: *Religijność może stać się drogą do autentycznego poznania, drogą do Jezusa Chrystusa. Kiedy jednak nie otwiera się na Jego obecność i przeciwstawia się jednemu Bogu i Zbawicielowi, staje się wtedy demoniczna i niszczycielska (s. 126).*

Ks. Marian Machinek MSF